

GLÓD

Dymy ze spalonych wsi wznosiły się czarnymi słupami do nieba. Mieszko, czający się na czele hufca po drugiej stronie Odry, patrzył na nie posępnie. Co jakiś czas na linii horyzontu buchał nowy kłęb, znacząc miejsce kolejnego pożaru.

Księżę obejrzał się na swoich ludzi, z trudem obracając w siodle otyłe ciało. Ukryli się w zagajniku przy rzece, nieopodal brodu. Choć drzewa były już okryte pierwszym listowiem, poszycie poznaczone było topniejącymi łachami śniegu. „Grząsko tu” pomyślał Mieszko zatroskany. „Oby konie nie utknęły”. Słyszał trwożne szepty, widział pobladłe twarze, zaciśnięte usta. Ktoś z dalszego szeregu, wychylony przez łąk, wymiotował, krztusząc się hałaśliwie.

„Sam bym zwymiotował. Ale wtedy już przegraliśmy. Jeśli zobaczą, że się boję...” Z udawaną pogardą odwrócił głowę. Napotkał ponure spojrzenia Warcisława i Jakuba, starych drużynników ojca. „Nie szanują mnie. Widzą we mnie tylko grubego wieprza. Czy pójdą za mną?”

Spojrzał ponownie w stronę rzeki. Na przeciwległym brzegu panował bezruch.

„Najgorsze to czekanie. Niechby już nadeszli”

Poprawił się dyskretnie w siodle. Żałował teraz, że rozkazał ludziom czekać w pełnej gotowości. Powinni byli dosiąść koni dopiero tuż przed starciem, ale teraz było za późno. Nie chciał, by widzieli, że pachotkowie muszą pomóc mu przy zsiadaniu. Kolczuga piła go pod pachami, cisnęła w pasie. Wciśnięty z trudem szyszak gniótł czoło żelazną obręczą. „Znowu utylę. Dwa lata temu wszystko pasowało”, uśmiechnął się mimowolnie z goryczą. „Dwa lata...”

Wychodząc z kaplicy raciborskiego zamku, Mieszko spoglądał ukradkiem na idącą obok niego Judytę. W oczach zgromadzonych gości musieli wyglądać pociesznie – on, otyły i niezdarny, sapiący w upale ciężko niczym starzec, pomimo swych dziewiętnastu lat, i ona – krucha i wiotka, wyglądająca przy nim jak dziecko, choć w rzeczywistości tylko o rok młodsza. Widział wymowne spojrzenia, wieloznaczne uśmiechy, przyciszone chichoty. Mijając Konrada i Agafię, usłyszał zduszony szept teściowej: „Przecież on ją zgniecie w łożu”. Spojrzał spłoszony na dopiero co poślubioną małżonkę. Judyta, pąsowa na twarzy, szła sztywno, trzymając wzrok wbity nieruchomo przed siebie. „Nie o takim mężu marzyłaś”, pomyślał przygnębiony. Był przyzwyczajony do szyderstw, ale myśl, że ich obiektem będzie od dziś jego żona, wzbudziła w nim nagły gniew. Poczł ssanie w żołądku. Zawsze gdy się złościł, robił się głodny.

„Niedoczekanie” zawziął się, siadając za stołem i wbijając zęby w udko kapłona. Gęsty sos prysnął mu na brodę, powodując kolejną falę złości pomieszanej ze wstydem. Otarł twarz rękawem sprawdzając ukradkiem, czy nikt nie zaważył. Napotkał pełen dezaprobaty wzrok matki i kpiące spojrzenie brata. Wiola i Władysław siedzieli po jego stronie stołu, którego ustawione w podkowie skrzydła zajęli naprzeciw siebie goście obu małżonków. „Jak dwie wilcze watahy” pomyślał.

„Tylko patrzeć jak rzuca się sobie do gardeł”.

Centralną postacią po stronie panny młodej był Konrad Mazowiecki. Pomimo przekroczonej pięćdziesiątki trzymał się prosto, a na jego ciele nie znalazłoby się ani grama tłuszczu. Ciągłe bitwy z Prusami i Jaćwingami; utarczki ze sprowadzonymi przez siebie Krzyżakami; wreszcie wojny o tron krakowski z Władysławem Laskonogim i Henrykiem Brodatym zahartowały go na podobieństwo miecza, którym najchętniej rozwiązywał wszelkie spory. „Jak chudy chart. Tylko czeka na sygnał gonitwy”, przemknęło przez myśl Mieszkowi. Siedząca obok Konrada Agafia była idealnym odzwierciedleniem męża. Jej wzrok błędził po sali niczym strzała szukająca celu. Mazowiecką parę otaczali synowie, Bolesław, Kazimierz, Siemowit i Ziemomysł, z których pierwszy był żonaty z córką Henryka Pobożnego, siedzącego na skrzydle pana młodego. Książę śląski był zaprzeczeniem swego mazowieckiego rywala. Lekko tęgawy, rozpierał się na ławie, emanując dostojnym spokojem. W odróżnieniu od gwałtownego Konrada, Henryk służył z rozwagi i umiaru. Do niedawna w imieniu małoletnich jeszcze Mieszka i Władysława sprawował formalną opiekę nad księstwem opolsko-raciborskim. Do dziś stosunki z byłymi podopiecznymi układały się poprawnie, a ślub z Judytą był w głównej mierze jego pomysłem i próbą załagodzenia konfliktu z porywczym kuzynem.

Jeżeli księżna mazowiecka była lustrzanym odbiciem Konrada, Anna, córka czeskiego króla Przemysła Ottokara, stanowiła dla swego męża oprawę. Jej elegancja i wdzięk potrafiły wpłynąć nawet na awanturniczych synów, Bolesława, Mieszka i Henryka, którzy dziś zachowywali się przy matce jak wcielenia dworskich manier, z rzadka łypiąc nieprzyjaźnie w stronę siedzących naprzeciwko szwagrów.

„Jedna wielka szczęśliwa rodzina”, zadrwił w myślach Mieszko. „Czy kolejne małżeństwa naprawią stare krzywdy? Konrad więził ojca Henryka w plockim lochu, a znowu Henryk pobił Konrada pod Skałą. Żaden z nich nie zrezygnuje z tronu Krakowa.”

Spojrzał na Judytę. Jedzenie na jej talerzu leżało nietknięte, za to kielich z winem był niemal pusty. Skinęła właśnie na służącą i ledwo ta napełniła jej naczynie, wzięła kolejny głęboki łyk.

„Musi się upić, żeby przebrnąć przez pokładziny”.

Chwycił kolejnego kapłona.

– Opanuj się – szept matki wwiercił mu się w ucho. – Gdyby twój ojciec cię widział...

„Tak, tak, mój ojciec. Święty krzyżowiec, do którego nigdy nie dorosnę”.

– Zdrowie! – Konrad wznosił kielich w stronę Mieszka, ale wzrok wlepił w Henryka. – Za piastowskie więzy krwi!

– Zdrowie! – unieśli swoje naczynia jego synowie.

Wypili do dna, nie spuszczać oczu z przeciwnej strony stołu. Henryk i jego potomkowie powściągliwie spełnili toast, po czym książę śląski zawołał:

- Za piastowską tradycję!
- Za tradycję – poparli go potomkowie.

„Zaczyna się”

– O jakiej tradycji mówisz, kuzynie? – Konrad, lekko podpity, wychylił się z na pozór uprzejmym zainteresowaniem. – O tradycji senioratu, mam nadzieję? Za to wypiję!

Henryk zasalutował niedbale pucharem. Konrad był najstarszym z żyjących Piastów. Jednak to Henryk sprawował formalną opiekę nad jego bratankiem, Bolesławem krakowskim. Oprócz Małopolski i swego dziedzicznego Śląska, zgłaszał również pretensje do Wielkopolski, tocząc o nią spór z Władysławem Odonicem, zwanym potocznie Plwaczem.

– Książę!

– Książę! – okrzyk giermka wyrwał go ze wspomnień. Spojrzał w stronę, w którą pokazywał chłopak.

W burych falach wezbranych marcowymi roztopami błysnęło nagie ciało dziewczyny, spływające z prądem. Czarne włosy oplatały szyję jak wodorosty, sięgając końcówkami do ziejącej między piersiami rany. Trup leniwie obracał się w wodzie, patrząc w niebo szeroko rozwartymi oczami jakby nie mogąc nadziwić się szaremu, pochmurnemu niebu.

„Wygląda jak Judyta, wtedy...”

Zgiełk weselnej sali został za drzwiami. Mieszko siadł ciężko na łożu, wyciągając przed siebie nogi. Pacholek zabrał się do ściągania butów. Po drugiej stronie komnaty, za wiklinowym parawanem panny służebne rozbierały Judytę. Wszystko odbywało się w ciszy, bez zwykłych w takim wypadku szeptów i chichotania. Gdy sługa zdjął mu pas i kaftan, Mieszko odgonił go niecierpliwym gestem. Chwycił kielich, rozlewając parę kropli. Ręce, mokre od potu drżały. Wytrzeł je w koszulę. Jeszcze wczoraj nie mógł się doczekać tej chwili, ale teraz wolałby mieć już wszystko za sobą. Czuł nieznośny ucisk w trzewiach. „Matka miała rację. Za dużo zjadłem. Jak zwykle.”

Służące wymknęły się pośpiesznie. Judyta wyszła zza zasłony długą chwilę potem. Włosy opadały z pochylonej głowy na gieźło, kryjąc twarz. W milczeniu położyła się po swojej stronie łoża, krzyżując dłonie jak do modlitwy. Wyzwolona z ciężkich szat nie wydawała się już wcale krucha. Koszula opinała się na wzniesieniach piersi, jej fałdy spływały z bioder, marszcząc się kusząco u złączenia ud. „Jest piękna” ścisnęło go w gardle. Zalała go fala pożądania.

- Pani... – chrząknął. – Judyto... wiem, że to małżeństwo... że nie tak...
- Jestem gotowa wypełnić swe zobowiązania – odparła, nie patrząc na niego.
- Ach... – zająknął się. Przygotowane słowa utknęły mu na języku. – Zobowiązania?
- Powinnością księżnej jest urodzić dziedzica – nadal patrzyła uporczywie w sufit.

„Powinność. Agafia dobrze ją przygotowała.” Poczł głód, poprzedzający atak złości. Nie bronił się, pozwolił jej napłynąć. Tak było łatwiej. Podszedł do żony i zadarł jej gieżło. Drgnęła przestraszona, ale potem, gdy się na niej kładł, leżała bez ruchu, pozwalając mu na wszystko. Gdy skończył, usiadł na łożu. Spełnienie przyniosło mu ulgę, a wraz z nią nadeszło zmęczenie. Z oczu Judyty miarowo płynął cienki strumyk łez.

– Za pierwszym razem trochę boli – pocieszył ją niezdarnie. – Potem będzie lepiej.

Wzdrygnęła się, zaciskając kurczowo dłoń na koszuli. Nie zakryła się z powrotem, jakby bojąc się poruszyć w jego obecności.

Wstał ciężko i poczłapał w stronę drzwi.

– Chciałbym ci obiecać, że nie odwiedzę więcej twojego łoża – powiedział. – Ale jak sama powiedziałaś, mamy swoje obowiązki. Jeżeli ludzie zobaczą, że nie żyjemy razem... – urwał. Chciał dodać „już i tak się ze mnie śmieją”, ale żalić się jej w takiej chwili wydało mu się niskie.

Po raz pierwszy spojrzła na niego. W jej wzroku zamiast odrazy ujrzła przebłysk litości. Sam nie wiedział, co było gorsze.

Ciało dziewczyny minęło bród, spływając z prądem. Mieszko przeniósł wzrok na drugi brzeg. Od czasu nocy poślubnej starał się nie odwiedzać żony zbyt często. Dopiero kiedy głód – ten inny głód – stawał się nie do wytrzymania, dochodziło między nimi do gwałtownych zbliżeń, podczas których Judyta zachowywała się zawsze tak samo. Poza tym wydawała się pogodzona ze swoim losem i nigdy nie dawała służbie powodów do plotek.

– No, teraz to my już naprawdę rodzina – Konrad z rozmachem klepnął Mieszka w plecy. Był ranek następnego dnia po weselu. Teść zaskoczył go na korytarzu. – Małżeństwo dopełnione jak należy! Oby pierwszy był chłopak!

– Dziękuję – bąknął Mieszko.

– Wiążę z tobą wielkie nadzieje, mój drogi – Konrad objął go jowialnie za ramię. – Będiesz moim klinem wbitym w śląski bok Henryka. Razem z Plwaczem weźmiemy go w dwa ognie, aż ustąpi z Krakowa. W końcu zasada senioratu wciąż obowiązuje!

– Myślicie o wojnie, teściu?

– Dla prawdziwego Piasta wojna to naturalny stan. Gdy brak nam wrogów zewnętrznych, bijemy się między sobą. Co ja się namęczyłem ze starym Henrykiem Brodatym! Ojciec Brodaty, syn Pobożny, ale ja będę Nieustępliwy! W końcu mały Bolko to mój bratanek. Krew nie woda! Laskonogi przekupił możnych krakowskich na zjeździe w Cieni, tylko dlatego go wybrali – Konrad nakręcał się coraz bardziej, w miarę jak przypominał sobie zapiekłe urazy. – A potem wysłał Brodatego jako namiestnika. A moja szwagierka, Grzymisława oddała mu władzę bez protestu.

Głupia baba!

„Dlatego uwięziłeś ją, upokarzałeś i biłeś. A mały Bolko musiał na to patrzeć. Nic dziwnego, że i oni wybrali Henryka”.

– Ale odzyskam co moje. – Równie nagle jak wybuchł, Konrad uspokoił się. – A ty mi w tym pomożesz. Razem dokonamy wielkich rzeczy, mój synu.

Nagły ruch na drugim brzegu zwrócił jego uwagę. Z lasu wyprysnęło pędzące stado spłoszonych saren, pędzących wprost do brodu. Prowadząca je łania zatrzymała się gwałtownie, obwąchując trwożliwie wodę, podczas gdy pozostałe drobiły niecierpliwie nogami. W końcu przewodniczka parsknęła i poderwała się do biegu wzdłuż brzegu, pociągając resztę za sobą.

„Już niedługo. Zaraz nadejdą.”

– Ruś stoi w ogniu. Po niej przyjdzie kolej na Węgry i na nas – powiedział Henryk rok później, odwiedzwszy Mieszka ponownie w Raciborzu. Rozmawiali tylko we dwóch. – Nie jesteście gotowi. Każdy ciągnie w swoją stronę.

„Masz na myśli mego teścia”

– Najgorszy jest Konrad – Henryk jakby odgadł myśli Mieszka. – Nie dość, że okrutnik, to jeszcze głupiec. Choćby ta historia z Janem Czapłą.

Scholastyk płocki, Jan Czapła został torturowany i stracony przez Konrada po tym, jak wbrew jego woli pośredniczył w zawarciu małżeństwa jego syna Kazimierza z córką Henryka, Konstancją. Gdy dominikanie chcieli pochować nieszczęśnika, Agafia odbiła zbrojnie ciało i powiesiła je jeszcze raz.

– To szaleństwo kosztowało Konrada interdykt i pokutę przed arcybiskupem. A ile przywilejów musiał nadać kościołowi. A znasz historię wojewody mazowieckiego Krystyna? To jeszcze przed twoimi narodzinami było. Gdy zrobił się zbyt popularny, twój teść go oślepił i zamordował, a wtedy całe pogranicze pruskie stanęło w ogniu, bo nie było go komu bronić. No i jeszcze Krzyżaków sprowadził i od razu same kłopoty, ziemię chełmińską mu zagarnęli.

– Wiem o tym wszystkim – zabrał wreszcie głos Mieszko. – Przecież dlatego panowie krakowscy wybrali Władysława Laskonogiego, a nie jego na opiekuna Bolesława.

– Stało za nim prawo. Laskonogi miał układ o przeżycie z ojcem Bolesława.

Milcząco spełnili toast za zamordowanego w Gąsawie Leszka Białego, seniora krakowskiego i starszego brata Konrada.

– A Laskonogi w testamencie nazaczył opiekunem mego ojca. – podsumował Henryk. – Ale Konrad i tego nie chce uszanować. Dobrze, że chociaż tę szuję, Odonica szlag trafił.

Władysław Odonic, zmarły krótko po weselu Mieszka, był podejrzewany o udział w zbrodni

gąsawskiej. Jako jedyny z zaproszonych książąt nie pojawił się wtedy na zjeździe. Obecnie Henryk był opiekunem jego małoletnich synów, Przemysła i Bolesława, sprawując władzę w Wielkopolsce.

– Jednak w myśl zasady senioratu, to Konrad jest obecnie najstarszym Piastem – zauważył ostrożnie Mieszko.

– I cóż z tego? Ja władam na Śląsku, w Mało- i Wielkopolsce, a on musi wydzielać na Mazowszu dzielnice swoim synom. Co za absurd, by władzę sprawować z racji wieku, a nie predyspozycji. Sądziś, że na moim miejscu Konrad zwróciłby ci twoje księstwo?

„Pewnie nie”. Mieszko dyplomatycznie zanurzył usta w pucharze.

– Nic nie mówisz. To twój teść, rozumiem. Jak on to wołał na weselu? „Za piastowskie więzy krwi”. Teraz jako jego zięć masz mu być posłuszny? Nawet nie odpowiadaj. Wiem że tak.

„Obowiązki Judyty w zamian za moje”

– Posłuchaj – podjął po chwili milczenia Henryk. – Chcę spełnić marzenie mego ojca, a także i moje. Chcę odbudować królestwo z czasów naszego pradziada, Bolesława Krzywoustego. I zdobyć to, czego jemu się nie udało: koronę. Piastów jest wielu. Każdy potrzebuje swojej ziemi. Tobie oddałem, co ci się należało, jeszcze dorzuciłem Kalisz dla Władysława. Przemysł i mały Bolko też dostaną co ich, gdy dorosną. Ale nad wami wszystkimi będę ja. Inaczej czeka nas zagłada ze wschodu lub zachodu. Może nie dziś, nie jutro. Ale jeśli nie zjednoczymy się pod wspólnym władcą, nastąpi niechybnie. Co ty na to? Odbudujmy razem królestwo.

Mieszko otworzył usta, ale twarz Henryka rozpadła się na sto czarnych punktów.

Po drugiej stronie rzeki, znad drzew wzbilo się z wrzaskiem stado wron. Mieszko drgnął, wyrwany ze wspomnień. Ptaki kołowały nad lasem, kracząc wściekle.

– Nadchodzą – mruknął zza jego pleców Jakub.

– Może to jakieś zwierzę je spłoszyło? - zapytał z nadzieją ktoś z tylnych szeregów.

– Nie bądź głupi.

– Mój brat w lutym był pod Turskiem – włączył się do rozmowy kolejny głos. – Ledwo uszedł z życiem. Wystrzelali ich tam jak kaczki.

– To prawda, że ich strzały gwizdzą? I sięją ogniem?

– Milczeć! – krzyknął Mieszko. Z każdym słowem podkomendnych jego jelita przeszywał gwałtowny skurcz. Oddałby wszystko za chwilę samotności w ustępie. „Jeśli pobiegnę w krzaki, mogę po powrocie nie mieć już wojska. Boże, daj mi siłę.” Wziął głęboki oddech.

– Wypatrujcie wroga – dodał już spokojniej.

– Tatarzy nadchodzą – Bolesław, najstarszy syn Henryka Pobożnego, był obryzany błotem. Dopiero co zsiadł z konia. Drogę z Wrocławia pokonał w dwa dni pomimo roztopów na drogach.

– Rozbili wojska krakowsko-sandomierskie pod Chmielnikiem i pod Tarczkiem. Zginęli kasztelanowie Jakub z Raciborowic i Klemens z Brzeźnicy, a także wojewoda Włodzimierz.

– A Bolesław krakowski? – spytał Mieszko.

– Uszedł z żoną na Węgry. Kraków jest już pewnie w rękach Bajdara.

– Jak są liczni? – Mieszko starał się zachować spokój, choć wieści były przerażające. Czuł jak jelita zaczynają skręcać mu się w supeł. Ślina napłynęła mu do ust.

– Co najmniej trzy tumeny. Mój ojciec posłał już po posiłki do teścia, króla Czech. Pomoc obiecali też joannici i templariusze. Ojciec wzywa cię pod Legnicę. Tam stawimy czoła najeźdźcy.

– Mam porzucić Racibórz?

– To warowny gród. Tatarzy go nie zdobędą.

– Zdobyli Kraków.

– Nie był broniony.

– Ponieważ Bolesław uciekł. Teraz ja mam zrobić to samo?

– Tylko razem damy radę pokonać tych barbarzyńców – w spokojnym dotąd głosie pośła zaczęły pobrzmiwać metaliczne nuty. – Co mam odrzec memu ojcu? Czy może na was liczyć, kuzynie?

„Razem odtworzymy królestwo”

„Jestem gotowa wypełnić swe obowiązki”.

A jego obowiązki?

– Powiedźcie ojcu, że przybędę – odparł Mieszko. – Jak tylko Racibórz będzie bezpieczny.

Tego dnia wydał rozkaz spalenia mostów na Odrze i zaczął gotować miasto do obrony. Tatarzy zbliżali się błyskawicznie. Uciekinierzy przynosili mrozące krew w żyłach historie o ich okrucieństwie. Najeźdźcy nie oszczędzali starców, kobiet ani małych dzieci, a wsie palili do gołej ziemi. W Raciborzu zapanował popłoch. Kto mógł, uciekał dalej na zachód lub zaszywał się w leśnych ostępach.

Na wieść o pojawieniu się pierwszych zagonów Mieszko zebrał zbrojnych i zasadził się przy brodzie na Odrze, który Tatarzy idący na Racibórz musieli przebyć. Judyta, jak na żonę przystało, pożegnała go przy wszystkich i stała na wałach, odprowadzając go wzrokiem.

„Przyjdźcie już, psie syny, niech to oczekiwanie się skończy. Mój brzuch... boli...”

– Są! – trwożliwy szept zmusił go do otworzenia zaciśniętych powiek. Pot, lejący się strumieniem spod szyszaka natychmiast zapiekł go w oczy. Zaklął wściekle, wycierając łzy grubą rękawicą. Gdy odzyskał wzrok, na drugim brzegu rzeki rojło się już od konnych, a kolejni wciąż wynurzali się z lasu.

– Dużo ich – zachrypiał Warcisław. Tatarzy dosiadali małych, kudłatych koni. Oprócz

drewnianych tarcz, szabel i włóczni, wszyscy mieli przy siodłach łuki i kołczany. Mieszko słyszał opowieści o ich niezwykłym kunszcie strzeleckim. W pełnym galopie zasypywali ciężkozbrojnych rycerzy deszczem strzał, nie dopuszczając do bliskiego zwarcia.

Z lasu wyłonił się teraz chorąży z buńczukiem. Na szczycie drzewca, nad poprzeczną belką ozdobioną frędzlami, sterczała ludzka głowa. Jadący za nim Tatar – ewidentnie dowódca, sądząc po nieco zdobniejszym od innych hełmie – prowadził na postronkach trzech poranionych chłopów. Jeńcy pokazywali na bród, tłumacząc coś rozpaczliwie. Po chwili zostali wpędzeni do wody. Ponaglani przez wrzaski dowódcy zaczęli brnąć do drugiego brzegu. Tatarzy po kolei wjeżdżali w nurt Odry, sunąc śladem przewodników. Woda zaczęła się pieniść i bryzgać wokół końskich pęcin, w miarę jak jezdnych w rzece przybywało. „Jak żywy most. Można by przejść po ich głowach suchą stopą.” Ucisk w jelitach Mieszka zniknął. Czuł teraz niezwykłą lekkość. Walące jak szalone serce rozděło się, unosząc go w powietrze jak nasiono dmuchawca. Coś zgrzytnęło mu w szczęce, powodując skurcz naprężonej szyi. Zorientował się, że dyszy przez zaciśnięte do bólu zęby. Rozwarł je przemocą, wbrew własnemu ciału, krztusząc się śliną, której miał pełne usta. Wciągnął haust powietrza, wydając mimowolny jęk. Zakręciło mu się w głowie jak po mocnym winie.

„Skup się”

Przewodnicy, zanurzeni już do piersi zaczęli stopniowo wyłaniać się z wody. Tatarzy przyspieszyli. Parę kroków od brzegu dowódca skinął na dwóch przybocznych, którzy dobyli szabel. Pierwszy chłop padł, nie wiedząc co się dzieje, żałosny krzyk drugiego urwał się w pół, gdy ostrze rozłupało mu czaszkę. Trzeci rzucił się w wodę, dając nura. Kilku Tatarów natychmiast wyciągnęło łuki. Śmiali się, czekając aż uciekinier wystawi głowę.

„Płyn!”

Pływak wynurzył się, chwytając szybki haust powietrza i natychmiast zanurkował ponownie. Strzały plusnęły w miejscu gdzie przed chwilą była jego głowa. Wśród Tatarów rozległy się okrzyki zawodu.

„Płyn, człowieku!”

Kilku spośród wciąż czekających na brzegu jeźdźców pokłusowało z biegiem rzeki.

– Nie ma szans – Warcisław podjechał do Mieszka, by lepiej widzieć.

Tatarzy jechali powoli, patrząc uważnie w wodę. Nagle jednocześnie wystrzelili w środek nurtu. Po chwili ciało, naszpikowane brzechwami wyplłynęło na powierzchnię, spływając z prądem. Zadowoleni strzelcy wracali, szydząc z towarzyszy stojących wciąż w wodzie.

– Ot, i kolejny trup – stwierdził Warcisław obojętnie. – Teraz nasza kolej.

„Już skazałeś nas na przegraną?” Mieszko spojrzał na starego.

– Nie damy im rady – ciągnął tamten spokojnie. – Jest ich zbyt wielu.

– Konie są zmęczone – wyrósł obok Jakub. – Niepotrzebnie czekaliśmy tyle w siodłach.

- Zaraz nas zobaczą. Za rzadka tu gęstwina by się ukryć.
- Jeszcze możemy się cofnąć do Raciborza.
- Obsadzimy wały. Nie dostaną nas.

Mieszko spoglądał to na jednego to na drugiego. „Uknuli to wcześniej?”. Obejrzał się na resztę drużyny. Wszyscy patrzyli na niego. Czekali na to co powie. Na jedno słowo. Odwrót.

- Wracajmy – Warcisław obracał już konia.

„Nawet nie czekają na to co powiem”. Mieszko zacisnął powieki, czując nagły skurcz żołądka. Zaburczało mu w brzuchu, aż jego rumak – wielki ogier, specjalnie dobrany do jego tuszy – zastrzygł uchem zaintrygowany.

„Gdyby ojciec cię teraz widział”.

Czuł, jak nadchodzi.

„Przecież on ją zgniecie w łożu”.

Gniew.

„Za piastowskie więzy krwi!”

Gniew, jak nigdy przedtem.

„Jestem gotowa wypełnić swe zobowiązania”.

Ktoś musiał mu za to zapłacić. Otworzył oczy.

Połowa Tatarów roiała się już na brzegu. Buńczuk, kołysząc się właśnie przekraczał rzekę.

Brzuch zabulgotał ponownie, ale tym razem był to pomruk wściekłego niedźwiedzia.

– Jestem głodny – powiedział Mieszko głośno, ruszając stępem przed siebie.

– Książę? – zapytał ktoś zdumiony zza jego pleców.

– Jestem głodny! – odrzyknął przez ramię, zmuszając konia do klusa. Mijając ostatnie drzewa, wyciągnął miecz. Tatarzy byli o sto metrów. Krzyczeli, wskazując na niego. „Boją się”. Z bliska nie byli wcale tacy straszni. Małe pokurcze na chmyzowatych konikach. On był żelaznym olbrzymem, rozpędzającym się jak głaz z górskiego zbocza. Nadleciała strzała, ale tylko pochylił głowę i grot ześlizgnął się po szyszaku. Poderwał konia do galopu. Strzały świstały teraz naokoło, ale żadna nie była przeznaczona dla niego. Nie dziś. Koń wierzgnął z nagle i wyrwał do przodu. „Dobrze, ty też bądź zły!”. Trzech najbliższych jeźdźców wyprysnęło ku niemu. Machnął mieczem od niechcienia, jakby oganiał się od muchy. Pierwszego Tatarza po prostu zmiotło z siodła. Drugiemu rozłupał tarczę, słysząc przy tym wyraźny trzask łamanej ręki. Trzeci już miał go dźgnąć w twarz, gdy nagle w jego piersi wyrosła włócznia. „Poszli za mną?”. Dopiero teraz, spóźniony, dogonił jego uszy łomot ciężkich kopyt. Wyprzedził go jeździec, zaraz potem drugi. „To moi, jadą w tym samym kierunku”. Nie miał czasu się rozglądać, bo właśnie dopadali stłoczonej cizby Tatarów. Rozległ się łomot, jakby sam Bóg uderzył w kowadło. Stepowe konie kwiczały, obalane przez ciężkie raciborskie rumaki. Tatarów odrzuciło w stronę brodu. Fragmenty ciał wylatywały ponad morzem

jeźdźców. Mieszko ciął mieczem trzy razy, zostawiając za sobą puste siodła i wypadł na otwartą przestrzeń. Wokół pędzili jego ludzie.

– Za mną! – ryknął i zaczął zawracać szerokim łukiem, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Przeorali Tatarów jak pług świeżą skibę. Szeroki pas ich przejazdu zasłany był drgającą, skrwawioną masą pobitych ludzi i zwierząt. Buńczuk, wokół którego kłębili się ocaleli najeźdźcy trząśł się na brzegu rzeki niczym drzewo targane wichurą. Mieszko dojrzał dowódcę wrogów, próbującego opanować zamieszanie. Tatar wrzeszczał na swoich ludzi, próbując wyprowadzić ich z wody. „Trzeba ich przycisnąć, zanim się rozbiegną.” Skręcił gwałtownie koniem, omal nie zderzając się z jeźdźcem po lewej. Uniósł miecz w stronę brodu.

– W nich!!

Żelazna ława runęła przed siebie, biorąc pod kopyta nielicznych ocalałych z pierwszej szarży. Tatarzy w rzece, widząc zbliżającą się zagładę wpadli w panikę. Pierwsze szeregi próbowały zawrócić, zderzając się z tylnymi. Przywódca płazował dezserterów szablą, ale napór uciekających był zbyt duży. Ozdobny hełm zapadł się w ludzką ciżbę i znikł pod kopytami.

Raciborzanie wpadli w bród. Woda, zmieszana z krwią kipiała, jakby w Odrze płynął wrzątek. Mieszko parł niepowstrzymanie w stronę chorążego. Rąbnął go z góry, rozłupując głowę aż po zęby. Wyrwał drzewce z martwej dłoni i zakręcił nim jak włócznią. Nikt już z nim nie walczył, przed sobą miał tylko plecy uciekających. Ostatni najeźdźcy wdrapywali się na przeciwległy brzeg i w panice gnali byle dalej przed siebie. Raciborzanie próbowali ich gonić, ale lekkie stepowe konie zostawiły ich w tyle. Kilku Tatarów, usiłowało chyłkiem spłynąć z prądem. Mieszko cisnął za nimi buńczukiem. Nie trafił, ale dzicy na dźwięk plusku zaczęli przebierać rękami ze zdwojoną energią. Drużynicy z radosnym wrzaskiem zaczęli ciskać do celu włóczniami.

– Mieszko!

Książę obrócił się w stronę głosu. Jakub, kulejąc, podchodził do brodu, prowadząc za sobą konia. W górze trzymał ociekający krwią miecz.

– Mieszko! Mieszko! – podchwyciły inne głosy.

– Miesz-ko! Miesz-ko! Miesz-ko! – Teraz krzyczało już dwieście gardeł. Mieszko pochwycił spojrzenie Warcisława. Stary rycerz schylił nisko głowę, a potem dołączył do okrzyków.

Książę ruszył ku swojemu wojsku, wznosząc prawicę. Czuł przyjemne zmęczenie, jak po dobrze wykonanej pracy. Parsknął śmiechem. Właśnie zdał sobie z czegoś sprawę.

Czuł się syty.

Godło: Ogar